

Y A E L  
N E E M A N  
*Była sobie  
kiedyś*

Tłumaczyła  
Magdalena Sommer

Warszawa 2023

1.

Widziałam Pazit kiedyś przelotnie, jakby tylko przechodziła tamtędy (a może to ja przechodziłam). Może to był jakiś znak. Zdarzyło się to na początku lat dziewięćdziesiątych, na ulicy Weisla w Tel Awiwie. Studiowałam teorię literatury na Uniwersytecie Telawiwskim i poszłam do Ruti, mojej koleżanki z roku, mieszkającej piętro niżej. Ktoś zadzwonił do drzwi. Kiedy Ruti otworzyła, w drzwiach stała oparta o framugę Pazit z papierosem w ręku i tak stojąc w progu, mówiła coś przez kilka minut. Rozmowa zaczęła się od komitetu mieszkańców, potem zesłała na inne tematy (nie pamiętam, czy któraś z nich była w komitecie czy też miały z nim jakieś kłopoty). Kiedy Ruti zwróciła się do Pazit tym jej sztucznym imieniem, od razu było widać, że do niej nie pasuje. Z tego co mówiła, ćmiąc papierosa na progu mieszkania, jasno wynikało, że jest bystra. Nieoczekiwanie zanosła się grzmiącym śmiechem, który po chwili objął także nas. Promieniowała wewnętrznym blaskiem, lecz z zewnątrz była uderzająco zaniedbana. Kiedy poszła, zaczęłam o nią wypytywać, ale Ruti nie umiała dodać niemal niczego ponad to, co sama widziałam.

Z biegiem lat okazało się, że Pazit znało bardzo wielu ludzi, których i ja znałam. Chociaż bardzo rzadko wychodziła z domu. Z początku sprawiało to wrażenie serii zbiegów okoliczności.

Pazit pozbyła się wszystkiego, co miała, wymazała wszystko, co kiedykolwiek robiła. Wymazywała teraźniejszość i przeszłość. Na tym się skupiła, odkąd się dowiedziała, że nadchodzi śmierć.

Umarła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat dwudziestego dziewiątego listopada 2002 roku.

Dafi, która była wtedy w Londynie, tak pisała o tym w liście do swojej ówczesnej psychoterapeutki:

W piątek umarła Pazit. Miriam zadzwoniła i przekazała mi wiadomość. Przyjechała do Izraela z Nowego Jorku, żeby być przy niej w szpitalu, gdzie leżała przez ostatnie trzy tygodnie. Pazit była świadoma, że wkrótce straci przytomność, bo po wielu miesiącach cierpienia zgodziła się na przyjęcie morfiny. Wcześniej za każdym razem odmawiała, bo bardzo zależało jej na zachowaniu jasnego umysłu.

Pewnego razu stwierdziła: problem polega na tym, że jestem jednocześnie pacjentką i rodziną pacjentki. Muszę zachować przytomność umysłu na tyle, bym mogła zająć się sobą. Innym razem powiedziała: cały mój problem można podsumować jednym słowem – sznycel. Wszystko u mnie opiera się na tym sznyclu. Nie zamieniłam go nawet na magdalenkę. Twierdziła, że tego właśnie zawsze jej brakowało, czegoś prostego, podstawowego, sycącego. Bardzo lubiła sznycele z kaszą gryczaną. Przynosiłam je czasami z różnych zaprzyjaźnionych restauracji, ale nigdy nie były takie jak trzeba. Za zimne, za duże albo za małe, czasem przynosiłam je za wcześnie, czasem za późno. A czasem były dokładnie takie jak trzeba, odpowiedniego

rozmiaru, o odpowiedniej porze, ale to nadal nie było to, bo tamto się skończyło.

Pazit zapisała swoje ciało nauce. Nie było pogrzebu. W takich przypadkach często odbywa się później chociaż symboliczny pogrzeb, ale ona zrzekła się swego ciała całkowicie, nie chciała, by pozostało po niej cokolwiek, ani zdjęcie (z nielicznych własnych zdjęć, które zachowała, z rodzicami albo z pierwszą kotką, wycięła swoją głowę albo ją zakleiła), ani książka (ze swoich książek wymazała korektorem wszystkie uwagi zapisane na marginesach, sprawdzając każdą kartkę z obu stron, by nawet pod światło nie dało się nic odczytać), potem rozdała książki znajomym. Najukochańsze wrzuciła do kontenerów organizacji pomocy dla żołnierzy, bo inaczej miała pewność, że pójdą na przemiał. Nie ma też grobu.

Kiedy zaczęłam rozmawiać z ludźmi, którzy ją znali, i poszukiwać informacji, znalazłam w internecie trzy wzmianki jej nazwiska. Jedna figurowała w ankiecie na początku dodatku literackiego „Haarec”, gdzie co tydzień zadaje się to samo pytanie jakiemuś autorowi, redaktorowi bądź tłumaczowi. W dwa tysiące piątym roku Dana Olmert, redaktorka w wydawnictwie Ha-Kibuc Ha-Meuchad, odpowiadając na pytanie, czy żałuje, że ktoś nie przeczyta redagowanej przez nią książki, odparła: moja ciotka, Sylwia (Pazit) Fein, utalentowana tłumaczka, osoba, która rozumiała i kochała literaturę. Zmarła na raka w 2002 roku. Tęsknię za jej tubalnym śmiechem i podejrzewam, że kilka opowiadań w *Pikniku* Orny Coussin by go wywołało.

DANA:

Ponieważ stosunki z szerszą rodziną mojej matki były napięte i pełne typowych dla polskich rodzin konfliktów, kontakty między krewnymi wciąż były zrywane. Poznałam Pazit, gdy pojawiła się na nowo w naszym życiu jako odzyskana kuzynka mojej matki. Miałam wtedy około osiemnastu lat. Odwiedzałam ją, przyjeżdżałam z Jerozolimy, nawet u niej nocowałam, chyba byłam jedyną osobą, która sypiała w jej mieszkaniu. Zwracałam się do niej per „ciociu”. Z jednej strony uderzyło ją, że odzyskany członek rodziny może być tak nazywany, z drugiej strony uznawała, że tego rodzaju związki rodzinne do czegoś zobowiązują. Byłam z nią bardzo związana emocjonalnie, ale nie umiem tej bliskości wyjaśnić. Dawała mi schronienie. Także w rodzinie. Było dla mnie ważne, że mogę istnieć

poprzez jej spojrzenie, tak, jak ona mnie widziała, jej spojrzenie zawsze było wielkoduszne i życzliwe. Poza tym miałam wielki respekt dla inteligencji i bardzo mi pochlebiało, że Pazit mnie ceni.

W moje osiemnaste czy dziewiętnaste urodziny poszliśmy razem do księgarni „Proza” przy Dizengoffa. Była to wtedy księgarnia jedyna w swoim rodzaju, można było dostać tam książki, których nie było gdzie indziej, a tamtejsze księgarke dogłębnie znały literaturę. Pazit chciała kupić mi książki, a także pokazać, jak je wybierać. Każdą książkę, która ją zainteresowała, obracała, by sprawdzić nazwisko tłumacza i wydawnictwo, analizowała każdą najdrobniejszą informację z okładki i z pierwszych stron. Kupiliśmy wtedy między innymi *Zgiełk czasu* Osipa Mandelsztama w przekładzie Nili Mirskiej, który mam do dzisiaj. Pazit powiedziała, że są książki, których potrzebuję sama dla siebie, książki, których nie można nie znać.

Innym razem ofiarowała mi na urodziny kolorową reprodukcję z jednego z albumów, przedstawiającą „Safonę z Pompejów”, postać piszącej kobiety. Było to wtedy dość kosztowne. Byłam zaskoczona i wzruszona, że tyle wydała na prezent dla mnie. Ten obraz wisiał odtąd zawsze nad moim biurkiem. Wyjeżdżając do Londynu na rok, dałam go mojej ówczesnej psycholog. Po powrocie zamówiłam drugą kopię i oprawiłam dokładnie tak samo, bo chciałam, żeby pierwsza została w jej gabinecie i była tam, kiedy przychodzę. Mam tę reprodukcję do dzisiaj i podkładkę pod myszkę z tym samym obrazem. To moje dziedzictwo po Pazit, towarzyszyło mi przez całe życie, ale nie zastanawiałam się szczególnie nad jego znaczeniem, wyrażało rodzaj ogólnego oczekiwania, że poświęcę się pracy naukowej.

Po wojsku nadal mieszkalam i studiowalam w Jerozolimie. Bylam wciagnieta w wiele projektow, wiecznie zabiegana, nigdy nie nadzalam z obowiazkami. Mniej wiecej raz w tygodniu odwiedzalam Pazit i jadlośmy razem jedzenie, ktore przynosilam jej z „Cafe Batia” albo skadinad. Nie mozna bylo wpaść do niej na godzine. Godzina to tyle co nic, rozgrzewka, nie mozna jej tego robic, zagladac w przerwie miedy innymi sprawami. Zawsze miało się wrazenie, że potrzebny jest czas, by broń Boże spotkanie nie zostało przerwane z byle powodu. Bo Pazit cały czas się zmieniala, także podczas jednego spotkania.

W tym czasie pracowalam co jakis czas w Archiwum Związku Pisarzy, ktore mieścilo się wtedy w Domu Pisarza przy ulicy Kaplana w Tel Awiwie. Czytalam artykuly i teksty do piątego tomu *Prozy hebrajskiej* Gerszona Szakeda, poświęconego Amosowi Ozowi i innym twórcom tego pokolenia. Archiwum to bardzo przypominalo dzisiejsze komputerowe bazy danych, mozna bylo znaleźć tam wszystko, co kiedykolwiek o kimś napisano.

Ponieważ praca archiwum podlegala regułom związkw zawodowych, przyjeżdzalam do Tel Awiwu wczesnym rankiem i szlam prosto tam, a gdy zamykali o pierwszej w południe, miałam czas, by pójść do Pazit, zjeść z nią obiad i posiedzieć kilka godzin. Czasem nawet zostawalam na noc.

Pazit zazwyczaj siedziala na kanapie, przed ktora stal bardzo duzy kwadratowy stol. Pilnowala, by miec wszystko pod ręką: popielniczke, papierosy (marki Nelson), pilota od telewizora, pilota od klimatyzacji, telefon, dlugopisy, klucze, filizanke z kawą. Zeby tylko nie musiala wstawac. Robila notatki na pudełkach

nelsonów. Nie mogła ich potem nigdy wyrzucać, bo były pokryte ważnymi numerami telefonów i najrozmaitszymi informacjami, całą masą potrzebnych rzeczy. Zastępowały jej biuro. Nigdy nie przepisywała niczego i wiecznie usiłowała przypomnieć sobie, gdzie coś zapisała, bo pudełka były identyczne.

Pewnego razu w zimie, gdy zostałam u niej na noc po pracy w archiwum, siedziałyśmy i rozmawiałyśmy, jej było zimno, ale nie była w stanie pójść się przebrać. Nie miała sił, nie potrafiła nawet zdjąć puchowej kołdry z górnej półki w szafie.



*Pojechaliśmy do Netanii, by ojciec mógł zagrać w remikę, a matka spotkać się z ludźmi. Ja pojechałam z powodu sardynek, które ciocia Pola kładła na czarnym chlebie z margaryną. Nie znalazłam innej miłości, nauczyłam się polegać tylko na tym, co można włożyć do ust i przełknąć. Przy takich spotkaniach ojciec się pilnował, nie popisywał się, może dlatego, że wszyscy byli zgodni: tak, grał lepiej od innych i uciekł z Krakowa do Rosji, by z kolei tam uciekać przed Armią Czerwoną. A może był spokojniejszy, bo był tam także jego młodszy brat, który sam uciekał kilkakrotnie z różnych miejsc, by na koniec dotrzeć do Palestyny i wstąpić do Brygady Żydowskiej, gdzie nauczył się angielskiego jak człowiek, a z czasem wyjechał do Ameryki, gdzie sobie żył na niemieckiej rencie aż do śmierci. Tego swojego brata ojciec kochał najbardziej ze wszystkich.*

SZULAMIT APFEL, *Przyjechałam po sardynki*

Aliza, matka Dany, znała Pazit od dziecka. Była od niej starsza o rok. Obie urodziły się w obozach dla dipisów w Niemczech: Aliza w Eschwege w roku 1946, Pazit w Sankt Ottilien w 1947. Znały się w dzieciństwie, potem odnowiły relacje jako dorosłe osoby, jednak w pewnym okresie nie widywały się, bo ich rodzice zerwali stosunki.

Aliza opowiada o rodzicach Pazit:

Bronka, jej matka, była drugą kuzynką mojej mamy. Przyjechały do Izraela po wojnie. Feinowie zamieszkali na osiedlu Mifde Wschód w Holonie, a my jakiś czas mieszkaliśmy w Manszija w Jafo, stamtąd przenieśliśmy

się do Ramat Ganu, a na koniec też trafiliśmy do Holonu, na ulicę Chankina.

Nie mieli więcej dzieci. Bronka była kobietą potężnej budowy, nie otyłą, lecz zwalistą, dosłownie człowiek góra. Jej mąż, Marek, też był wysokim, przystojnym i barczystym mężczyzną. Wieczorami mieli zwyczaj spacerować pod rękę z Mifde do centrum. We dwoje tworzyli jakby wielki blok, posuwający się naprzód ulicą Sokolowa. Biło od nich zadowolenie z siebie, wychodzili na ulicę, by pokazać się innym. Zawsze sprawiali takie wrażenie. Pazit wlokła się za nimi albo przed nimi, jakby nie należała do rodzinnego bloku. Pozostawała z brzegu.

Z dzieciństwa zapamiętałam ją jako dziewczynkę, która wciąż kręci się wokół, chce wdrzeć się do ich ciasnego związku, ale dla nich jakby w ogóle nie istniała. Była przezroczysta. Ten obrazek z niemego filmu rozgrywającego się na ulicy Sokolowa dokładnie pokazuje stosunki w ich rodzinie. Nie trzeba nic więcej wiedzieć, by zrozumieć.

5.

Jakow przyjaźnił się z Pazit od czasów, gdy oboje mieli po trzy lata, do jej śmierci.

JAKOW:

Mieszkaliśmy w sąsiedztwie na osiedlu Mifde. To było osiedle nowych imigrantów, którzy przyjechali do Izraela po II wojnie. Niewielkie domki stojące w równych rzędach. Dzisiaj niektóre rozbudowano i stały się praktycznie willami, dobudowano piętra albo zburzono i wybudowano na tym samym miejscu inny dom. W 1956 roku, pięć lat po założeniu osiedla, mój ojciec z jakiegoś powodu zamówił fotografa, nie mam pojęcia po co. Ubraliśmy się ładnie i usiedliśmy w ogrodzie przy stole przykrytym obrusem. Tak nas sfotografowano. Wszystkie domy były podobne do siebie. Byliśmy jedną z wielu rodzin, które przyjechały „stamtąd”, i w każdym z tych niewielkich domków kryła się jakaś tragiczna historia.

■

Opis Mifde w Wikipedii nie przypomina opisu innych osiedli w Holonie. Brzmi tak, jakby hasło stworzył ktoś z dawnych mieszkańców, który dał się porwać i napisał swego rodzaju wspomnienie, a pamięć wyolbrzymiła mu nieco powierzchnię domów, które miały jakie 60–70 m<sup>2</sup> na rodzinę, dwa-trzy pokoje z kuchnią:

„Osiedle Mifde zostało zbudowane przez towarzystwo «Mifde Ezrachit» w latach 1950–1951. Obejmowało pięćset parterowych jednostek mieszkalnych, które tworzyły dwurodzinne domy o powierzchni około pół

dunama dla każdej rodziny. Przeważającą większość pierwszych mieszkańców stanowili imigranci z Polski i w pierwszych latach istnienia osiedla dominował tam język polski. W centrum znajdował się «Niebieski Ogród», nazwany tak od roślinności, którą w większości stanowiły krzewy i drzewa kwitnące na niebiesko. Staw znajdujący się w ogrodzie w pierwszych latach został później zasypany. Przy wejściu od ulicy Tahona stał kiosk, w którym sprzedawano napoje gazowane o smaku malinowym i cytrynowym i rozmaite słodycze. Osiedle było ograniczone od północy ulicą Jehoszuy Tahona, od południa ulicą prof. Schorra, a od zachodu Alejami Jerozolimskimi. Wiele z pierwotnych domów, które z biegiem lat powiększono, zostało zburzonych i na ich miejscu powstały nowe, znacznie większe, lecz dzięki zakazowi wznoszenia wysokich budynków udało się zachować wyjątkowy charakter tego miejsca – niskie, tonące w zieleni domy i liczne zaułki odchodzące od głównych ulic, podobnie jak na sąsiednim osiedlu Newe Arazim?»

JAKOW:

Mifde było osiedlem Żydów aszkenazyjskich, niemal wszyscy tam mówili po polsku, a w każdej rodzinie było jedno albo najwyżej dwoje dzieci. Moi rodzice też przyjechali z Polski. Po wkroczeniu Niemców ojciec uciekł do Rosji, na Syberię. Tak przeżył. Matkę wywieziono do Auschwitzu z całą rodziną. Była śliczną, pełną wdzięku dziewczynką, znała polski i niemiecki, dzięki temu przeżyła, choć naturalnie przeszła bardzo ciężkie rzeczy. Uratowała się, ale cała jej rodzina została zamordowana. Miała dziadka i babcię, rodziców i siostrę, ojciec miał pięć siostr, wszyscy co do jednego zginęli.

Ojciec urodził się w 1913 roku, matka w 1923. Poznali się w obozie dipisów w Niemczech. Tam się w 48 urodziłem. Wcześniej ojciec stracił pierwszą żonę i dziecko, ale ten fakt nie istniał w naszej historii rodzinnej, dowiedziałem się o tym dopiero koło pięćdziesiątki, wcześniej nie miałem pojęcia, że ojciec miał inną rodzinę. Matce wyrwało się to przypadkiem przy jakiejś okazji. Potem ożenił się ze mną, skwitowała. Była młodsza od ojca o dziesięć lat. Przyjechali do Izraela jako bardzo mała rodzina, było nas w sumie czworo, po tym jak urodził się mój brat. Całe osiedle takie było.

Z powodu wojny ojciec nie zdążył pójść na studia. Miał smykałkę do handlu. Prowadził na osiedlu sklep z warzywami (potem sklep obuwniczy, „Obuwie Gildora”, a jeszcze później kawiarnię w Tel Awiwie). Matce wojna też uniemożliwiła zdobycie wykształcenia, ale była bardzo zdolna i dzięki temu ocalała, bo знаła drugi język. Tłumaczyła z polskiego na niemiecki.

Byliśmy rówieśnikami. Nasze domy przedzielała tylko ścieżka i żywopłot, więc od przedszkola do końca szkoły średniej żyliśmy cały czas bok w bok.

Po szkole, popołudniami, bawiliśmy się na podwórkach. Byłem uzdolniony plastycznie, Pazit z kolei świetnie wymyślała różne historie. Robiliśmy coś w rodzaju ilustrowanych opowieści, takie animacje, które chowało się do pudełka od zapalek, coś się przekręcało i pokazywała się historyjka. Pazit odpowiadała za treść, ja za obrazki. Niestety nic z tego nie zachowało się. Zajmowaliśmy się tym całymi godzinami codziennie, przez wiele tygodni, miesięcy i lat. Dzięki temu uciekaliśmy do innych światów.

Czasem bawiliśmy się z naszą sąsiadką Nicą. Pochodziła z Jemenu, a to było czymś zupełnie wyjątkowym

na osiedlu. Pewnego dnia bawiliśmy się w domu Pazit w lekarza, pielęgniarkę i pacjenta. Byliśmy za szafą, bo była tam jakaś sytuacja z zastrzykiem w pupę, staniem w kolejce i parawanem. Ja byłem lekarzem, Pazit pielęgniarką, a Nica pacjentką. Matka Pazit przyłapała nas, spuściła jej straszne lanie, zabroniła spotykać się z Nicą i przez jakiś czas ze mną. Wychowywano ją bardzo surowo, po spartańsku. Jej ojciec był wysokim, eleganckim mężczyzną, zawsze nienagannie ubranym. Pracował w przedsiębiorstwie „Ha-Chofer” jako księgowy. Miał niewielki wąsik i nosił się jak Anglik. Nic sobie nie zostawił z polskości, przebrał się za kogoś innego.

Chyba zawsze uważali się za coś lepszego od reszty mieszkańców, jakby byli jakimś wyjątkiem. Tak to odbierałem jako dziecko. Matka Pazit była wiecznie chora, w końcu oślepla. W ich domu panowała bardzo ciężka atmosfera w porównaniu z moim domem, w którym było wiele ciepła i czułości.

Wszyscy moi rozmówcy, zarówno przyjaciele z dzieciństwa, jak i z późniejszych czasów, mówili, że najbliższa Pazit była Sara. Ich przyjaźń nie narodziła się w szkole, chociaż uczyły się razem chyba od szóstej klasy, lecz później, po wojsku. Nie spotkałam się z Sarą osobiście, lecz korespondowałyśmy ze sobą, a każdy jej e-mail był skarbnicą informacji.

SARA:

Po raz pierwszy zobaczyłam Pazit na prywatnych zajęciach baletu lub czegoś w rodzaju rytmiki, organizowanych popołudniami w śmierzdzącej sali gimnastycznej w piwnicy szkoły im. Szenkera, mojej szkoły, do której później dołączono także dzieci z osiedla Mifde.

Byłyśmy w drugiej albo trzeciej klasie. Ja poza tym uczyłam się jeszcze gry na pianinie. Nie pamiętam, czy Pazit też. Nauczycielka przychodziła do domu. Rodzice odprowadzali nas na zajęcia, pomagali przebierać się i wkładać baletki stłoczeni w maleńkiej, bardzo ciasnej dziurze bez okien obok sali gimnastycznej, a po zajęciach pomagali nam przebrać się z powrotem w zimowe ubrania.

Mnie przyprowadzała z początku matka, potem przychodziłam sama. Zwróciłam uwagę na Pazit, bo przychodziła z obojgiem rodziców. Byli po prostu ogromni, zapelniali sobą całą maleńką przestrzeń wszerek i wzwyczaj.

Pazit była gruba i niska, okrągła jak kulka, z warkoczem upiętym w koczek, i cały ten proces przebierania się budził w niej lęk.

Jej rodzice górowali nad wszystkim w salce jak dwa ogromne wykrzykniki. Nie pamiętam, by jej

pomagali. Naturalnie śmiali się z niej. W jakiś sposób ta dziewczynka, wyglądająca na wystraszoną, utkwiła mi w głowie. Może w domu ją bili. Nie wiem. Wszystkich nas bili. To była wtedy norma w polskich rodzinach i nie powód do aż takiego lęku. Może ją bili bardziej, nie mam pojęcia. Ale był to szczególny widok, gruba dziewczynka w różowym stroju, niepewna, wykonująca kolejne czynności bojaźliwie i przymilnie, i górujący nad nią rodzice, twardzi i niezłomni.

    Nie pamiętam, czy w tamtym czasie słyszałam jej śmiech.



Imię Pazit zawsze było jakby sztucznie przyklejone. Nie zrosło się z nią, nie stało się jej częścią ani ona nie stała się częścią jego. Wcześniej nazywała się Sylwia. Sylwia Fein.

SARA:

Dzieci z Mifde przyszły do szkoły Szenkera po kilku latach nauki (chyba do piątej klasy) w osiedlowej szkole. Razem z nimi przyszła ich nauczycielka, Riwka, którą przezywały „krową holenderską”. To ona nadała im hebrajskie imiona.

Autobus jadący z Holonu na plażę Chof Ha-Sela w Bat Jam (w czasie letnich wakacji jeździłam tamtędy niemal codziennie z mamą, wioząc kanapki i winogrona) mijał wielką tablicę, stojącą między Bat Jam a Holonem z napisem „Studio tańca Pazit Arci” i obrazkiem tańczącej kobiety. Wyglądałam jej w dzieciństwie przy każdej podróży nad morze. Może widziała ją także nasza nauczycielka i podobnie jak ja uznała, że nie ma bardziej klasycznego, pięknego i izraelskiego imienia niż Pazit Arci. W naszym życiu, w bardzo szerokim promieniu, nie było żadnej prawdziwej Pazit. W większości nadawano nam imiona dziadków, wujków, dzieci, które zginęły w Holokauście. Nosiłam swoje imię jak piętno do czasu studiów, dopiero tam ktoś bardzo miły poukładał mi w głowie i uspokoiłam się. Ku memu wstydowi Pazit opowiedziała kiedyś, że była do mnie życzliwie usposobiona, jeszcze zanim zostałyśmy przyjaciółkami, nie dlatego, że byłam interesująca czy coś podobnego, ale ponieważ jako jedyna wymawiałam jej imię z akcentem na ostatnią sylabę, nie jak jej rodzice, dalsza rodzina i całe Mifde

na pierwszą. Potem, gdy znienawidziła swoje nowe imię, odkryła, że żona komika Danny Kaye'a (który grał Hansa Christiana Andersena), autorka tekstów jego piosenek, nazywała się Sylvia Fine. Przez pewien czas rozważała, czy nie wrócić do dawnego imienia, ale w końcu się nie zdecydowała.

Renia przyjechała do Mifde z Krakowa w wieku dziesięciu lat. Była jedyną wówczas świeżą nową imigrantką w naszej szkole. Mieszkała obok Pazit i chodziła do jednej klasy z nią i z Jakowem. Nauczycielka powiedziała, że Renia to nie jest izraelskie imię, i dała jej do wyboru dwa hebrajskie imiona: Rina lub Riwa. Wybrała Riwę, sama nie wiedząc czemu. W dowodzie tożsamości miała wpisane imię Regina, a w domu i w Krakowie wszyscy mówili na nią Renia.

Bardzo nie lubiła nowego imienia i tego, że nie mogła zachować starego, które nosiła od urodzenia. W ostatnich latach wróciła do „Reni” i wymaga, by tak się do niej zwracać, także w przypadku ludzi, którzy poznali ją jako Riwkę. Poprawia wszystkich, którzy używają imienia „Riwka”.

Nauczycielka zmieniła także nazwisko rodziny Jakowa.

JAKOW:

„Buty Gildora” to był sklep obuwniczy mojego ojca w Holonie. Tak shebraizowano nasze nazwisko, ale ojciec wciąż nazywał się Gildenhorn. W tych czasach było przyjęte zmienianie dzieciom nazwisk w szkole podstawowej, jakby w ten sposób cała diaspora miała naraz przeistoczyć się w prawdziwy Izrael. Mój brat pozostał przy nazwisku Gildenhorn, co zapewniło mu przychyłność ojca, ja zostałem zmuszony do zmiany

nazwiska i za sprawą Riwki, naszej nauczycielki z podstawówki, stałem się Gildorem.

Z Cyłą, która także mieszkała w Mifde i była bliską przyjaciółką Pazit z dzieciństwa, było inaczej. Ona też urodziła się w obozie dipisów, we Włoszech.

CYLA:

Poznałam Pazit jako Sylwią, tak nazywano ją w dzieciństwie, zarówno w przedszkolu, jak i pierwszych dwóch klasach. Może nawet jeszcze w trzeciej. Nie pamiętam, kiedy Riwka została naszą wychowawczynią. Pazit była Sylwią, a potem nagle Riwka zmieniła jej imię na hebrajskie. Ja z kolei czułam się gorsza przez to, że nie zmieniono mi imienia, jakbym została czegoś pozbawiona. Moje imię, Cyła, od początku było hebrajskie. Dlatego postanowiłam sama zmienić sobie imię i zawiadomiłam wychowawczynię, że od tej pory noszę imię mojej babci, Cwija. W klasie szóstej, siódmej i ósmej byłam Cwija, ale w liceum wróciłam do dawnego imienia. Ludzie, z którymi byłam w ciągłym kontakcie, w ogóle tego nie pamiętają, ale zdarza się, że spotykam kogoś, kto znał mnie w podstawówce i na mój widok mówi: „Cześć, Cwija”. W pierwszej chwili nie wiem, o kogo chodzi. Pazit tego nienawidziła. Nienawidziła imienia nadanego przez nauczycielkę. Przez całe życie chciała być Sylwią.

Ponieważ musiałam rozwikłać cały ten galimatias wymyślanych i przyklejanych imion, uznałam, że nie jestem w stanie używać w tej książce imion wymyślonych, zarówno gdy chodzi o ludzi, jak miasta czy osiedla. Choć z drugiej strony używanie prawdziwych imion i nazw budzi we mnie lęk i niechęć, zarówno podczas pisania,

jak i potem, gmatwa wszystko i piętrzy trudności. Redaktorzy i wydawcy nie lubią, gdy w książkach używa się prawdziwych imion i nazw. Ich zdaniem to proszenie się o kłopoty. Ale nie jestem w stanie zmieniać imion. Jakby prawdziwe imiona cały czas wzywały do prawdy, a jednocześnie przed nią ostrzegały. Prawdziwe imiona należą do czarno-białej rzeczywistości.

Przyjaciele z dzieciństwa niemal zawsze opisywali mi dom jej rodziców z zewnątrz, bo najczęściej nie wychodziła na dwór, a oni nie wchodzili do środka.

SARA:

Po drodze do domu Pazit, kiedy szło się z centrum ulicą Jehoszuy Tahona, biegnącą między osiedlami Progresiwim i Mifde (osiedle Bukowina powstało później), po prawej stronie widać było wyłącznie nieduże, przyjemne domki. Ale w pobliżu ulicy Dubnowa, na której mieszkała Pazit (skręcało się w prawo z Tahona), rosło wielkie drzewo eukaliptusa, z białym pniem z czerwono-brązowymi rysami, a tuż obok stał duży arabski dom, do którego to drzewo należało. Ktoś tam mieszkał, ale o ile pamiętam, to nie byli Polacy. Przystawaliśmy obok, umawialiśmy się pod nim, może dlatego, że stanowiło wyjątek w monotonnym krajobrazie: po stronie Mifde małe domki w ogródkach, po drugiej stronie dwupiętrowe domy osiedla Progresiwim. Arabski dom był inny, nieco tajemniczy. Nie pamiętam, żebyśmy zastanawiali się nad tym, czy jest pozostałością po jakiejś wiosce. Zwyczajnie stał tam sobie arabski dom, dzięki któremu kwadratowe, polskie osiedle Mifde stawało się na chwilę odrobinę bardziej interesujące. Na piaszczyste tereny w granicach miasta mówiliśmy „piaski Husama” („dziś wieczorem palimy ognisko na Husama”), nie poświęcając w ogóle myśli temu, że w przeszłości była tam miejscowość o tej nazwie, ale nie mam pojęcia, czy Mifde faktycznie zbudowano na terenie arabskiej wioski. Sąsiedzi Pazit mieli z kolei drzewo

chlebowca. Opowiadała mi o tym jak o czymś interesującym i faktycznie zapamiętałam to do dzisiaj. Drzewo chlebowe? Naprzeciwno, po drugiej stronie ulicy Dubnowa, też ciągnęły się osiedla dwupiętrowych domów, w których mieszkali nowi imigranci (dom Pazit stał w ostatnim rzędzie osiedla Mifde). Tam mieszkała Riwka (Renia), z którą chodziliśmy do klasy. Kiedyś, gdy byliśmy w ostatniej klasie liceum, poszliśmy do sąsiadki Riwki, pochodzącej z Afryki Północnej, żeby wydepilować sobie nogi cukrem. Czy to oznacza, że w Mifde mieszkali imigranci z Afryki Północnej, czy tylko na drugim osiedlu, czy też nastąpiła jakaś wymiana lokatorów? Nie mam pojęcia. W szkole miałam wrażenie, że wszystkie dzieci z Mifde są z polskich rodzin (pamiętam przede wszystkim ciche i skrupowane dziewczynki).

Nica chodziła z Pazit do liceum:

Mieszkała w małym domku na północnym skraju osiedla. Lubiłam drogę do jej domu, było w niej coś miłego i leniwego. Lubiłam nawet samą nazwę Mifde. Mieszkaliśmy w centrum miasta, a wcześniej na ostatniej ulicy na osiedlu Szikun Watikim w Holonie, gdzie większość mieszkańców stanowili nowi imigranci. Graniczyło z osiedlem Jessy Cohena. Naszymi najbliższymi sąsiadami – ich dom przytykał do naszego – była rodzina nazwiskiem Salma: ojciec, matka i ośmioro dzieci. Do dzisiaj miło ich wspominam. Latami tęskniłam za tamtym domem, a droga do Pazit zawsze mi go przypominała: łąka porośnięta gęsto pełną roślinnością bez nazwy, wymiecione podwórko, ogródek, kilka rabat z przywędłymi kwiatami.

Trudno stwierdzić dokładnie, w jakim momencie się zaprzyjaźniłyśmy. Mieszkałyśmy daleko od siebie, chodziłyśmy do innych szkół: wszystkie dzieci z Mifde chodziły do Szenkera, a dzieci ze śródmieścia do Bialika. W liceum byłyśmy w różnych profilach. Może na początku był śmiech. Gromki, nieopanywany śmiech.

RENIA:

Poznałam Pazit (wtedy jeszcze Sylwię) w dniu, w którym przyjechaliśmy do Holonu. To było na początku trzeciego trymestru czwartej klasy, chodziłyśmy do szkoły imienia Szenkera. Przyjechaliśmy do Izraela trzy miesiące wcześniej, z imigracją gomułkowską. Z miejsca zawieziono nas autokarami do pustynnej Beer Szewy, dali nam małe domki i łóżka z Agencji Żydowskiej. Przyjazd z Krakowa na pustynię stanowił dla nas wstrząs i jeszcze tego samego wieczoru wyjechaliśmy do Ramat Gan, do siostry mojego ojca, która była z pokolenia pionierów i miała w Izraelu rodzinę. Mieszkaliśmy u niej przez trzy miesiące, w tym czasie uczyłam się prywatnie hebrajskiego. Potem przenieśliśmy się do Mifde. W dniu, w którym przyjechaliśmy, do drzwi zapukała jakaś dziewczynka i przedstawiła się: jestem Sylwia, chcę być twoją przyjaciółką. Pewnie powiedziała to po polsku. To było miłe powitanie w nowym miejscu. Nie znałam nikogo, a teraz mam przyjaciółkę. Pamiętam, jak zeszła po schodach na bosaka i przeszła przez piaszczystą dróżkę na drugą stronę, do swojego domu naprzeciwko.

Nasza nauczycielka, Riwka, poleciła dziewczynce z klasy (nie Pazit), żeby pomagała mi w nauce

(hebrajskiego i Biblii), i tak jakoś między mną i Pazit nie rozwinęła się wtedy bliska przyjaźń. Można powiedzieć, że byliśmy głównie sąsiadkami.

Przy drzwiach wejściowych do jej domu było bardzo duże okno, podzielone na trzy części. Wielokrotnie, gdy przychodziłam i wołałam albo gwizdałam, otwierała jedną część okna i wyglądała zobaczyć, kto ją woła, potem mówiła, że nie może wyjść i nie wolno jej wpuszczać do domu kolegów. Tak było najczęściej, gdy ktoś do niej przychodził.

Od rodziców słyszała wiecznie „nie” i „nie wolno”, a to bardzo źle na nią wpływało. To był zamknięty dom, mroczny i zimny, nikt nie wychodził ani nie przychodził. Pazit była jedynym dzieckiem ludzi ocalałych z Holokaustu, a większość ocalańców nie mówiła o przeszłości.

Ja także byłam jedynym dzieckiem ocalałych z Holokaustu. Z rozmów starszych, którym się przysłuchiwałam, wiedziałam, że rodzice mieli syna urodzonego w czasie wojny, którego oddali pod opiekę jakiemuś dobremu Polakowi, żeby go ukrywał. Polak ukrywał jeszcze inne żydowskie dzieci. Ktoś doniósł, przyszli polscy mordercy i zastrzelili wszystkich. Moja matka, która ukrywała się niedaleko, twierdziła, że słyszała, kiedy zastrzelili jej dwuletniego synka i resztę dzieci. Rwała sobie włosy z głowy.

Moi rodzice też ciągle mi czegoś zabraniali. Ojciec tak mnie przerażał, że aż drżałam, gdy choćby na mnie spojrzął, ale matka osłaniała mnie własnym ciałem. Kiedy byliśmy w liceum, sytuacja domowa Pazit stała się jeszcze trudniejsza, bo jej matka zachorowała i stopniowo traciła wzrok. Polska mentalność w ich domu przybrała skrajne formy. Wszystko trzeba było



trzymać w tajemnicy, panowała przesadna polska duma, bardzo często złość i poczucie rozczarowania.

Ja walczyłam z wiecznymi zakazami w ten sposób, że nie mówiłam rodzicom prawdy o tym, dokąd chodzę i z kim się spotykam. Nie śledzili mnie, więc moje kłamstwa nigdy się nie wydały, a rozwiązywały wiele problemów. Gdybym nie odważyła się zmyślać, siedziałabym ciągle w domu bardzo smutna. Dopiero służba wojskowa w zamkniętej jednostce wyzwoliła mnie z domowych zakazów, jednak Pazit wojsko nie przyniosło upragnionej niezależności.

CYLA:

Pazit powiedziała mi kiedyś, że kiedy jej ojciec wychodził do pracy, matka stawała w oknie i wyglądała. Czekwała na jego powrót, bała się, że nie przyjdzie z powrotem. Całe dni tak spędzała w lęku i obawie, że mąż nie wróci, czekając na niego, nie miała czasu zająć się córką ani w ogóle niczym. Ojciec Pazit był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, miał wiele wdzięku, matka tego nie miała, ale oboje starali się trzymać fason. Kiedy matka zachorowała na raka, to była tajemnica, o której nie wolno było mówić, trzymali to w sekrecie, zaprzeczali.

W ich domu panowała żelazna dyscyplina, każdy dzień Pazit był ściśle zaplanowany co do godziny. Pewnie jej ojciec sądził, że tak wychowuje się dzieci. Myślę, że jej rodzice nie dojrzeli do posiadania dzieci, to nie było dla nich naturalne.

Jej ojciec pracował jako księgowy w firmie „Ha-Chofer”, miał samochód. W porównaniu z resztą osiedla byli dosyć zamożni, szczególnie na tamte czasy. Jako pierwsi dobudowali w domu dodatkowy pokój,

mieli sypialnię, salon i osobny pokój dla Pazit. Nawet ich ogród był zawsze kwitnący, wydaje mi się, że może w ogóle zatrudniali ogrodnika.

Bardzo podobało mi się urządzenie ich mieszkania, inne niż te, które znałam w rodzinie i u sąsiadów. Ojciec Pazit był z charakteru prawdziwym „Jeke”, pedantem. Ale miał doskonały gust. Ich dom był bardzo estetyczny, minimalistyczny, tylko trudno było tam się poruszać, bo nie wolno było brudzić. W dzieciństwie bywałam u niej bardzo rzadko.

Mieli stół, który Pazit zabrała potem do mieszkania w Tel Awiwie, i kanapę przywiezioną z Niemiec. Stała na balkonie, który był jakby przedłużeniem salonu, ale nie tak jak dzisiaj, kiedy wybija się ścianę. Wchodziło się do przestrzeni, będącej dawnym balkonem, przez szerokie drzwi, które były tam od początku, ta przestrzeń służyła zarówno jako kąt jadalny, jak i miejsce do spędzania czasu z rodziną. Tam właśnie stała kanapa, przepiękna, całkowicie inna, w Izraelu nie było wtedy takich rzeczy.

W pokoju Pazit także stała kanapa. Teraz jest moda na rzeczy w stylu retro, wtedy nie wydawała mi się szczególnie ładna, ale dzisiaj myślę, że była fantastyczna. W dwóch kolorach, marchewkowym i beżowym. Pazit miała też własną szafę i biurko, ale nie wolno było nam niczego dotykać, żeby nie zostawiać śladów, bardzo tego pilnowali.

Kiedy powiedziałam, że bardzo podobają mi się meble w ich domu, odparła, że to gust jej ojca. Bardzo szanowała jego gust, ale powiedziała też, że nienawidzi tego domu, bo jest tak zorganizowany i uporządkowany, nic nie wyłamuje się z szeregu, ani jedna książka, wszystko było używane w sposób minimalny

i odkładane od razu na miejsce. Sterylna przestrzeń. Miała rację, wszystko rzeczywiście było urządzone ze smakiem, ale sterylnie, chyba nie widziałam u nich nigdy kwiatów czy gazety.